

Woda, w której Jorick zanurzył wachlarz błyszczała krystalicznie, odbijając perłowe rozszczepiające się na falach światło. Łódź płynęła cicho, a rzeka szumiała w takt znanych melodii. Wiatr dmuchał w żagle, nadymając ich śnieżną biel, z łoskotem przypominającym świątynne bębny. Kiedy mezczyzna dopłynął do zatoki, zwinął je starannie, zaplåtując się w delikatną materię swojego czarnobiałego płaszcza.

Dalej rzeka zwężała się, a woń wiosennych kwiatów stawała się coraz intensywniejsza. Jorick wyciągnął wiosło i płynął powoli, przez wąskie zakręty spokojnej wody. Zwisające, delikatnie zazielenione gałęzie drzew muskały czerwone pasemka na jego czarnych włosach i głaszały pociągnięte ciemnym tuszem oczy. Wiosenna bryza owiewała mu twarz.

Przyjemne ciepło zniknęło jednak, kiedy ujrzał przed sobą purpurowe lampiony. Był na miejscu.

Z południa nadchodził Hermanne. Niósł ze sobą zarzucona na ramię harmonie. Stąpał po gęsto rozsypanych, purpurowo-fioletowych kwiatach łąki. Spoglądał na białe motyle i pszczoły, które trzepotały niespokojnie skrzydełkami. I słuchał. Bo zewsząd płynęła do niego doskonale znana melodia. Dookoła rozlewał się zapach napęcznianych dojrzałością traw, a promienie słońca tańczyły w powietrzu, tworząc tęczowe mozaiki w tumanach wnoszącego się letniego kurzu. Mimo tego rozkwitu, panowała dziwna senność.

Hermanne odrzucił opadające na twarz włosy o rdzawym blasku, odchylił skraj fioletowej kamizeli i przystanął. Ujrzał czerwone lampiony.

W tym samym czasie po zachodniej stronie wzgórz, stromymi kamiennymi schodami wspinał się Passion. Przerzucona przez plecy gitara melancholijnie lśniła w jesiennym słońcu. Wiatr falował spokojnie, podrywając brunatne liście spod obutych stóp.

Drzewa rosnące po obu stronach kamiennych schodów nachylały się ku wędrowcowi, jakby chciały mu pomóc i przyspieszyć osiągnięcie celu. Ale on się wahał. Ubrany w biały, zdobiony czerwonym wzorem kubrak i szeroki pas z rozsianymi na nim złotymi kwiatami, powoli stawiał krok za krokiem. Co chwila przystawał, odgarniając długą, brązową grzywkę i spoglądając na jesienne ptaki. Wdychał październikowy dym i słuchał szumu, który przekształcał się w tak bliskie mu melodie.

Nawet nie dostrzegł, kiedy lampiony pojawiły się między kamiennymi smokami i zabłysły szkarłatem, odbite w jego ogromnych oczach.

Z północnej strony gór przez zimowy most szedł ostatni z nich, Lanni. Pomarańczowa, jedwabna parasolka, którą obracał lekko na ramieniu, złoto-zielony kaftan i piszczalki przyłączone z przodu na pasku, odcinały się wyraziście od oślepiającej bieli śniegu i kryształowego skrzywania się lodowych sopli. Kiedy w połowie mostu przystanął i spojrzał na stężalą w zimowym oddechu moc rzeki, z zasnutego chmurami nieba zaczął padać śnieg. Wielkie, wzorzyste płaty szumiały cichutko i niosły ze sobą melodie, na których wspomnienie zamknął oczy. Idąc, potracił krzak czerwonej, dzikiej kaliny i stracił owoce, które potoczyły się po migotliwym, błękitnym śniegu.

Wśród pokrytych szronem drzew, zobaczył wiszące i tłące się rubinowym blaskiem lampiony.

Powoli kończyło się wszystko. W tym jednym miejscu, otoczonym bramami, rozświetlonym ciepłem latarni. I strzeżonym przez cienie, które sami stworzyli.

Jorick przekroczył bramę i znalazł się na miejscu. Słońce nie docierało tu w całym swoim blasku. Promienie jedynie lekko drżały, unoszone na świetlistej mgie, która snuła się nisko, pochłaniając wielobarwne motyle wyhaftowane na skraju jego stroju.

Idąc, mijał ciche budynki, aż dotarł do oświetlonego purpurowymi lampionami pawilonu. I choć stał plecami do słońca, to ich rdzawy poblask oślepił go. Zasłaniając oczy ręką, nie zauważył, jak z mroku wyłonił się ubrany w granatowy habit Izzi. W jego czarnych, splecionych z jednej strony włosach, odbijał się spokojny ogień.

Jorick podniósł głowę i spojrzał w smutne oczy straznika. Nie powiedział mu nic. Zbliżył się tylko do drzwi i uchylił je powoli. Snop światła padł do wnętrza i rozciągnął się świetlistą, podłużną smugą. Pomieszczenie było prawie całkowicie puste. Na końcu sali stał tylko rzeźbiony stojak z ciemnego drewna.

Mezyczyna z trudem oddychała. Bo czuł, jak sala tętniła. Czuł, jak tętniła tym, co nazbierało się w nim przez Czas. Idąc, widział jak po ścianach wiją się i rozkwitają pnącza pełne kwiatów, słyszał dziewczęcy śmiech i czuł łzy.

Pobrzękując delikatnie bransoletkami, wyjął wachlarz, który stał się nieznosnie ciężki od nagromadzonego smutku. Odwrócił wzrok i jednym szybkim ruchem otworzył go. Wachlarz rozsunał się z łoskotem, jak ptak podrywający się do lotu, rozsypując wokół Milosc. Jorick pogładził go delikatnie w ostatnim pożegnaniu i odłożył na stojak, by już go więcej nie dotknąć.

Kiedy wyszedł z drugiej strony pawilonu, słońce zaczynało powoli umierać. Rozlana purpura odbijała się w szklach ciemnych okularów Joricka, rzucała cień na jego marynarkę i czarne spodnie. Mezyczyna oparł się o drewnianą poręcz i poruszył zawieszonym nad nim czarnym dzwoneczkiem. Dźwięk roznosił się długo, ale nawet kiedy zamilkł, Jorick wciąż stał nieruchomo. I czekał.

Kiedy Hermanne dostrzegł bramę, wydała mu się ogromna, zmiennokształtna i myśląca. Zdawało mu się też, że budynki, które mijał, próbowały mu coś powiedzieć, ale on niczego nie słyszał. Była cisza.

Przed pawilonem spotkał Izziego. Chciał się odezwać, ale tamten zacisnął swoje drobne usta, podniósł rękę i pokiwał przecząco głową. Wskazał mu lekko rozwarte drzwi.

Pomieszczenie wypełniało światło w kolorze lila. Było smutne i ciężkie. Hermanne szedł świetlistym dywanem, stąpając po miękkim od wibracji podłodze. Drżenie tych wszystkich uczuć, które towarzyszyły mu przez Czas, nigdy nie było tak wyraźne jak w tej chwili. Czuł emocje ludzi, którzy doświadczali Radosci z niespotykaną wcześniej intensywnością.

Zauważył wachlarz Joricka. Jedwab połyskiwał srebrzyście, nieświadomy, że już nigdy nie zostanie poderwany do boskiego tańca. Hermanne złożył swoją harmonie, a w niej znajdująca się Radosc, na stojaku obok. Wpatrywał się przez chwilę w instrument urzeczony, jakby widział go pierwszy raz. Zauważył też, że lekko drżą mu ręce. Na jego poblaskłych palcach pomalowane paznokcie tworzyły czarne, wyraziste plamy.

Kiedy wyszedł zobaczył Joricka i uśmiechnął się. Chciał, żeby to był zuchwały uśmiech dawnego Hermanne, który tak wszyscy dobrze znali. Wyszedł jednak żałośnie i smutno.

Czarna opaska, którą podtrzymywał włosy, zsunęła mu się prawie na okulary w grubej oprawce. Szara czaszka na jego koszulce połyskiwała rumieńcem kładących się na niej krwistych plam zachodzącego słońca, które promienistymi smugami przechodziły w delikatny róż, wymieszany z soczystym oranżem. Hermanne poruszył fioletowym dzwoneczkiem, zawieszonym obok dzwonka Joricka. Usiadł na ławce i oparł głowę o ścianę. Jego towarzysz nic nie mówił. Obaj czekali.

Passion oparł dłoń o bramę. Musiał chwilę odpocząć. Schody i wiatr wyczerpały jego siły. A może nie tylko one? Może ten ciężar, który niósł w sercu, również nie pozwalał mu swobodnie oddychać? Słońce ogrzewało mu plecy, kiedy ruszył dalej i wędrował między sędziwymi pawilonami oraz sadzawkami, których krystaliczna powierzchnia falowała łagodnie, poruszana podwodnym życiem ryb.

Kiedy zobaczył Izzię siedzącego na kamieniu przed rozświetlonym pawilonem, nie próbował się uśmiechać. Wydawało się, że mały starznik dźwiga największy ciężar.

Minął go cicho, jakby przepraszająco, zdjął buty i wszedł do budynku.

Wielki, pusty pokój przyciągnął go zapachem chryzantem. Woń otaczała wszystko jak w ciepłym kokonie, w którym mieściły się niezliczone wspomnienia odeszłych chwil. Czuł uczucia, które przepływały przez niego podczas trwania Czasu. Ekscytację, zmęczenie, radość i dumę. Nie rozumiał, w którym momencie, to wszystko zaczęło tracić na znaczeniu. Nie potrafił wychwycić momentu, kiedy oni wszyscy stali się przeszłością. Ta bezradność doprowadzała go do szału.

Kryształowe wisiorki, które miał na szyi zadźwięczały, kiedy sięgnął po gitarę. Zdjął ją z pleców, zważył chwilę w rękach i położył obok harmonii Hermanne. Gitara rozsiała zapach Wiary. Instrumenty wyglądały tak spokojnie i cicho, jakby były martwe.

Kiedy wyszedł, zmrużył oczy przed blaskiem. Pozdrowił Joricka i Hermanne skinieniem głowy. Kolczyki w jego lewym uchu połyskiwały, przyciągając słońce.

Ubrany w koszulkę z kołnierzykiem oraz czarne spodnie w paski, podszedł do poręczy i dotknął czerwonego dzwoneczka. Dźwięk rozniósł się cicho.

Lanni kroczać kamiennym dziedzińcem, słyszał, jak zielone liście drżą cichutko na smukłych łodygach bambusów. Kamyki chrzęściły mu pod stopami, niewidoczne pod rozlaną mgłą. Każdy kolejny stawiany przez niego krok, rozwiewał mleczne opary.

Izzi czekał na niego pod dachem. W wieczornej ciemności jego małe oczy błyszczały gorączkowo.

Sala, w której Lanni znalazł instrumenty pozostałych członków zespołu rozbrzmiewała delikatną kakofonią charf, bębnów i fletów. Stał w bezruchu i patrzył swoimi wąskimi, mocno poczerwionymi oczami na miniony Czas. Próbował popatrzeć na to w sposób chłodny. To prawda, wiele wspaniałych rzeczy się zdarzyło, ale osiągnęli już wszystko, co mogli. Starał się wciąż mieć przed oczami nowy świat, jaki czekał go za drzwiami, przez które za chwilę wyjdzie.

Chciał tak myśleć, ale wszystko, czego doświadczył i co było tak piękne, nagle uderzyło go z niezwykłą świeżością. Zobaczył wyraźnie, że nigdy nie był sam. Zobaczył wyraźnie, że nigdy nie był sam. Zawsze istniała ta jedność, która ogarniała wszechrzeczy, a którą zasłoniły nawarstwione nieporozumienia.

Myślał, że o wszystkim zapomniał. A przecież wciąż trzymał w rekach Odwagę.

Usiadł na chwilę i ścisnął mocno piszczalki. Ocknął się dopiero, kiedy poczuł ból. Przyciśnięte do nich pierścionki, które zawsze nosił na palcu wskazującym i serdecznym, wbiły mu się głęboko w dłoń.

Położył Odwagę obok instrumentu Passiona. Spojrzał na swoje puste dłonie i poczuł się jak żołnierz pozbawiony broni. Zacisnął ręce. Nie odwrócił się ani razu, kiedy podążał do wyjścia. Przed nim był przecież nowy świat.

Kiedy wyszedł, twarz zasłaniała mu baseballowa czapka nasunięta na twarz i oczy. Cienie uciekające przed eksplodującym feerią fioletońskim niebem, wędrowały po jego bluzie i szerokich spodniach.

Pozostali spojrzeli na niego. Pod tym wzrokiem odruchowo schował twarz w ramiona. Zawsze tak robił, kiedy uwaga otoczenia skupiała się na nim. Zakłopotany, podszedł do zielonego dzwonka i potrząsnął nim.

Izzi chłodził czoło o kamienne posągi. Nie śpieszyło mu się. Wiedział, że kiedyś tam dotrze, że to się stanie, ale chciał przedłużyć chwilę, kiedy jeszcze wszystko można by odmienić. Czas upływał niewzruszony, kiedy strażnik włókł się w stronę pawilonu. Widok porzuconych przez pozostałych przyjaciół instrumentów sprawił, że Izzi usiadł i zapłakał, chowając twarz w granatowe rękawy habitu. Było mu tak ciężko, że aż nie mógł się ruszać. Kurczowo ścisnął pałki do werbla.

I wtedy przyszła melodia, która pozbawiła go tchu. Było w niej wszystko. I kakofonia harmonii, i szepty piszczalek, był wysoki hipnotyzujący śpiew, drgania naprezonych strun gitary. A w tle był stały niezmienny rytm Nadziei wybijany na bębnach, który spinał wszystko w jedną nieśmiertelną całość. Muzyka nasilała się stopniowo, swoim natężeniem poruszając każdą myśl w jego mózgu. Izzi nie wiedział, jak długo tak trwał pochłonięty przez sam Rdzen. Ale zrozumiał już, że to się nie odstanie, że musi набrać sił, by iść.

Wstał z podłogi, deptając po długim suknie. Okręcił pałeczki wokół swoich palców i położył je obok piszczalek Lanniego. W oczach zalśnił mu żal.

Kiedy wyszedł, miał już suchą twarz. Lekki wiatr poruszał kapturem jego granatowej bluzy i nogawkami krótkich spodenek. Wytarł rękawem nos i uśmiechnął się blado do czekających na niego mężczyzn, pokazując w policzkach dołeczki. A potem szarpnął niebieskim dzwonkiem. Gdy przestał dźwięczeć, Jorick podniósł głowę zasłuchany i ze zdziwieniem zapytał:

- To już ostatni?

Mgła zakotłowała się i zgęstniała. Słońce ostatkiem swych sił oświetlało już tylko najniższe partie nieba. Ciepły wiatr zawodził cicho, woda szumiała gdzieś w oddali, a chryzantemy pochylone ku ziemi układały się do snu.

Siedzący na ławce Hermanne, splatał nerwowo ręce. Passion wpatrywał się w swoje seledynowe adidas, chowając uczucia za zasłoną opadających mu na twarz włosów. Izzi siedział na schodach opierając łokcie na kolanach.

- Tak, to już koniec - odparł spokojnie Lanni, krzyżując ręce na piersi.

- Tak spokojnie to mówisz! – zawołał Hermanne, niemal z wyrzutem.

Jorick odwrócił się plecami do reszty i oparł ręce na poręczy. Wiatr szarpnął drzewami i poniosł daleko zerwane płatki jabłoni.

- On ma rację.

Passion kopnął kamyk, którym bawił się od dłuższego czasu.

- Ja tak naprawdę nie wiem, dlaczego do tego doszło. Co się właściwie stało?

- Sam nad tym myślałem - odparł Jorick. - I nie potrafię przypomnieć sobie momentu, kiedy drogi zaczęły prowadzić na manowce.

Zapadło milczenie, które po chwili przerwał Hermanne.

- Poprzez Czas. Graliśmy razem poprzez Czas - powiedział, jakby mogło to coś zmienić.

- I nikt nam tego nie zabierze - odparł Lanni. - To była długa droga.

Rozmawiając, nawet nie dostrzegli momentu, kiedy Izzi wstał ze schodów i wyszedł przed pawilon.

- O co chodzi? – spytał Passion.

Mleczne opary zaczęły wirować i podnosić się delikatnie ku górze. W ich puchatej substancji iskrzyły się w niebywałych kolorach ostatnie słoneczne ogniki. Było to tak piękne i niezwykle, że Izzi nie odpowiadając na pytanie, wszedł w otaczającą go mgłę i wyciągnął dłoń, na której światło rzeźbiło czarodziejskie zaklęcia. Zwabiony tym niespodziewanym zjawiskiem wyszedł też Passion.

Tęczowe blaski nie trwały długo, bo mgła zaczęła się nagle rozstępować.

Przed nimi w oddali zaczął majaczyć jakiś kształt, który zauważył najpierw Izzi.

- Patrzcie! - wskazał placem i zastygł w bezruchu.

Jorick, Lanni i Hermanne zeszli ze schodów i osłupiali wpatrywali się szeroko otwartymi z zachwytu oczami na postać kobiety, która pojawiła się przed nimi. Niewiadomo skąd. Jakby stworzyła ją ta mgła.

Szła powoli, zwrócona delikatnym profilem do zdumionych mężczyzn. Jej smukłe, kruche ciało o śnieżnobiałej skórze odziane było w precudnej urody szatę, która ciągnęła się za nią złościście połyskując. Kaskady kolorów, kwitnące łąki maków, jesienny wiatr zaplątany w złote liście i srebrzyście wyrafinowane płatki śniegu, tylko demiurg mógł w tak figlarny sposób rozłożyć na materiale. Szerokie rękawy podkreślały drobne nadgarstki i delikatny biały lakier, którym pomalowane były paznokcie kobiety. Czarne lśniące włosy, jak rzeka spływały jej na plecy i ramiona. Włosy przy skroniach miała spięte w kwietny stroik. Zapach bladoróżowych kwiatów wiśni, chryzantem i orchidei docierał aż do nich. Z boku głowy, w gałązki konwalii wplecione miała pięć różnobarwnych dzwoneczków, które przy

każdym jej ruchu dźwięczały cichutko.

Kiedy Jorick je zobaczył, zdjął ciemne okulary i odruchowo odwrócił głowę w stronę miejsca, gdzie wisiały ich własne dzwonki. Nie zdziwił się, kiedy już ich tam nie zobaczył.

Kobieta zachowywała się jakby ich nie widziała. Kroczyła dostojnie, z bladą twarzą, ozdobiona zdumiewająco długimi rzęsami, powiekami pociągniętymi czarną kreską i ustami pomalowanymi krwistoczerwonym barwnikiem.

- Jest piękna. Nieskończenie piękna - szepnął Hermanne.

Izzi pokiwał nieprzytomnie głową.

- Ale kim ona jest? - zapytał.

Jorick uśmiechnął się. A ten uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- To Muzyka - odpowiedział. - To najprawdziwsza Muzyka.

Lanni spojrzał na niego.

- Czy...czy to znaczy, że myśmy ją stworzyli?

Jorick kiwnął głową.

- Na to wygląda. Mamy przed sobą nasze Serce.

Kobieta jakby wiedziała, że rozmowa dotyczy jej, ponieważ odwróciła głowę i podniosła na nich wzrok. W jej ciemnych, przepastnych oczach, muśniętych srebrzystym cieniem, każdy z nich wyczytał skrytą tajemnicę, podszytą obietnicą czegoś nieuchwytnego i nieokreślonego. Jej poważne, słodkie usta, rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

A później odwróciła się pobrzękując dzwoneczkami i bransoletami.

Odeszła.

Stali jeszcze chwilę, mając w myślach obraz jej długiej szyi, smukłych palców i dogasającego słonecznego blasku na jej gładkich włosach.

Słońce zaszło już i w powietrzu unosił się wieczorny zapach. Lampiony dopalały się, a księżyc jasną smugą oświeślał horyzont. Jorick pierwszy się ocknął. Podeszedł do Izzi i położył mu rękę na ramieniu.

- Już czas zamykać pawilony.

Straznik pokiwał głową.

I rozeszli się. Każdy w swoją stronę, w inne miejsce, w inny Czas. Zostawiając za sobą przeszłość, roztopili się we mgle, stając się duchami jeszcze bardziej niż kobieta, którą przed chwilą widzieli.

Izzi zamknął pawilony, położył na nie pieczęcie. Wiedział, że nie może się smucić. Czas się zmienia, a

oni razem z nim. Ale jeszcze ten jeden jedyny, ostatni raz usiadł i zapłakał.
Nad ludzmi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kardemine, dodano 01.07.2012 09:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.